

Było gorące lato 1971 roku. Trwały wakacje, należące się nam po uczciwie przepracowanej czwartej klasie technikum. Już w czasie roku szkolnego przyszedł mi do głowy pomysł, aby w czasie wakacji wybrać się na wyprawę autostopem. W tamtych czasach był to wspaniały sposób poznawania Polski. Wszystko zaczęło się kilka lat wcześniej; już w 1963 czy w 1964 roku Karin Stanek śpiewała:

„Autostop, autostop, siadaj bracie, dalej hop,  
Rusza wóz, będzie wiózł, będzie wiózł nas dziś ten wóz.  
Jedziemy autostopem, jedziemy autostopem,  
W ten sposób możesz bracie przejechać Europę”.

My nie myśleliśmy o przejeżdżaniu Europy, na to nie było szans. Myśleliśmy o Bieszczadach, które wtedy były dla młodych ludzi silnym magnesem - wzywającą, nieznaną krainą przygód.

„Autostop” to była dobrze zorganizowana ogólnopolska akcja. Trzeba było zarejestrować się w PTTK, (czyli w Polskim Towarzystwie Turystyczno-Krajoznawczym), tam kupić za grosze specjalną książeczkę Autostopu, w której podane były zasady funkcjonowania tego przedsięwzięcia oraz zamieszczony plik drukowanych kuponów przeznaczonych dla kierowców, którzy swymi pojazdami (prywatnymi i służbowymi) zgadzali się bezpłatnie zabierać w drogę zatrzymujących ich autostopowiczów. W zamian za podwiezienie autostopowicz dawał kierowcom kupony wydzierane z książeczki Autostopu. Za te zebrane kupony kierowcy mogli brać udział w losowaniu wielu ciekawych nagród.

Pojazdy zatrzymywało się pokazując kierowcy trzymaną wysoko w wyciągniętej ręce książeczkę Autostopu. Oczywiście zatrzymywał się tylko ten kierowca, który miał na to ochotę. Wraz z tą książeczką w PTTK otrzymywało się też mapę drogową Polski.

Zaopatrzeni w takie książeczki w lipcu 1971 roku wyruszyliśmy w Polskę. Była nas trójka: Heniek, mój brat i ja. Heniek i ja mieliśmy po 18 lat, brat był dwa lata młodszy. Dlatego musiałem obiecać rodzicom, że będę na niego uważał. Oprócz plecaków targaliśmy na grzbietach, na zmianę, duży 4-osobowy namiot, wypożyczony ze szkoły. Autobusem dojechaliśmy na peryferie Wałbrzycha, na końcową pętlę w Szczawienku.

Raźnym krokiem wyszliśmy za miasto na drogę prowadzącą do Świebodzic. Zaczęło się bardzo dobrze, zatrzymaliśmy Żuka, który na pace krytej plandeką miał ławeczki dla pracowników. Jechał po jakieś towary aż pod Opole. Kierowca chętnie nas zabrał, wrzuciliśmy nasze manele na podłogę, sami klapnęliśmy na ławeczkach i patrzyliśmy jak uciekają kilometry. Minęliśmy Świdnicę, Wrocław, Oławę i Brzeg. Jechaliśmy słynną drogą E22, która była częścią europejskiej trasy E22 o przebiegu: Berlin – Wrocław – Katowice – Kraków – Rzeszów – Przemyśl. Później po wybudowaniu autostrady A4 została drogą nr 94.

Kiedy kierowca musiał zjechać z naszej trasy do Niemodlina, wysiedliśmy, podziękowaliśmy, daliśmy mu kupony, które sobie schował i zostaliśmy z naszymi tłumokami na poboczu drogi. W przydrożnym rowie, na trawce, zjedliśmy część suchego prowiantu i znowu wyszliśmy na drogę próbując zatrzymać jakieś samochody. Po półgodzinie złapaliśmy Nyskę jadącą do Strzelc Opolskich a tam nawet dość szybko udało nam się zatrzymać ciężarówkę, która jechała aż do Dąbrowy Górniczej. To się nazywa szczęście. To nic, że na pace trochę wiało, najważniejszym było to, że pod koniec pierwszego dnia dotarliśmy aż do Dąbrowy Górniczej.

Kiedy wysiedliśmy w tym nieznanym mieście już się ściemniało. Musieliśmy wyjść z miasta, aby znaleźć jakieś tereny zielone. Idąc wzdłuż szosy rozglądaliśmy się za jakimkolwiek miejscem gdzie można by rozbić nasz namiot. W końcu trafiliśmy na teren ogródków działkowych. To była szansa; przeskoczyliśmy przez ogrodzenie i rozbiliśmy się na ścieżce pomiędzy ogródkami. Byliśmy tak zmordowani, że tylko zjedliśmy ostatnie kanapki, po czym natychmiast nadmuchaliśmy materace i zakopaliśmy się w koce. Rano obudził nas jakiś działkowiec – na szczęście był to życzliwy starszy pan. Nawet wypił z nami gorącą herbatę; wodę gotowaliśmy na naszym kocherku, harcerskiej kuchence na paliwo turystyczne. Po śniadaniu, którym była konserwa mięsna z puszki, ruszyliśmy w dalszą drogę.

Drugiego dnia dotarliśmy tylko do Krakowa, ale taki był nasz plan. W Krakowie mieliśmy zatrzymać się na polu namiotowym i w następnych dniach zwiedzać najważniejsze zabytki miasta.

Nasze plany zawaliły się z powodu poważnych problemów z noclegami. Jedyne camping (tak się wtedy mówiło na pole namiotowe) funkcjonujący przez lata przy ulicy Piastowskiej został zlikwidowany. Zmuszeni byliśmy zostawić cały nasz majdan w przechowalni bagażu na Dworcu Głównym PKP i pytać o możliwość taniego noclegu w punktach informacji turystycznej. Jediną szansę stanowiło schronisko, a właściwie Dom Wycieczkowy PTTK przy ulicy Nadwiślańskiej.

Był to zwykły, parterowy barak kryty papą, tyle tylko, że nie drewniany a murowany, w którym za nocleg płacono się 14 złotych. Zauważyliśmy, że z tyłu budynku znajduje się mały placyk zarośnięty trawą, gdzie z powodzeniem można byłoby rozbić namiot. Pani w okienku po zainkasowaniu 3 złotych łaskawie nam na to zezwoliła.

Mogliśmy się spokojnie umyć i ulokować w namiocie rozbitym na placyku za schroniskiem. Wypaliliśmy się niezłe, ale poranek nie był przyjemny. Okazało się, że ta pani, która nas przyjmowała pracowała tylko po południu a rano była już inna osoba, mocno zdziwiona naszą obecnością. Niezbyt grzecznie radziła nam się jak najszybciej wynieść. Kiedy nie pomogły prośby i tłumaczenia, zwinęliśmy i spakowaliśmy namiot, uprosiliśmy jednak panią z obsługi, aby przechowowała go w swoim kantorku wraz z naszymi plecakami. Zdecydowaliśmy, że w ostateczności wieczorem zapłacimy za normalny nocleg wewnątrz budynku.

Kocham Kraków. To wspaniałe miasto o niespotykanej atmosferze. Z każdego kąta wygląda tam historia. Atmosferę tę potęguje jeszcze spora ilość ludzi starszych; nigdzie nie widziałem ich tylu, co w Krakowie. Kto nie był w tym mieście nie może mieć pojęcia, co to znaczy powłóczyć się po Plantach, posiedzieć na Rynku pod pomnikiem Mickiewicza, posłuchać hejnału zając obwarzanki i karmiąc gołębie, wcisnąć się w tłum w Sukiennicach, czy chociażby tylko iść którąkolwiek z uliczek pamiętających przecież czasy średniowiecza. Nic nie mówić, tylko patrzeć i słuchać. Musiałem mieć koniecznie przynajmniej jeden dzień na galerię w Sukiennicach, muzeum Czartoryskich i Dom Matejki. Gdybym nie zobaczył "Hołdu Pruskiego", "Kościuszki pod Racławicami", czy też wspaniałych obrazów Chełmońskiego, Podkowińskiego, Boznańskiej i Malczewskiego, nie ruszyłbym dalej nawet na krok. Na zawsze zapamiętam wrażenie, jakie zrobił na mnie obraz Jacka Malczewskiego "Śmierć Elenai". To jest coś niesłychanie wspaniałego! Światło rozkładające się na postaniu ze słomy i na włosach dziewczyny, nastrój i siła tego widoku, głęboko utkwily mi w pamięci.

O Wawelu trzeba powiedzieć osobno. Obskoczyliśmy Katedrę, Grobowce, Komnaty, Zbrojownię i Skarbiec. Wiedziałem, że w tak krótkim czasie nie uda się nam zobaczyć wszystkiego, ale cóż, dłuższy pobyt w mieście był wykluczony chociażby ze względu na zawartość naszych kieszeni.

Gdy wróciliśmy do schroniska około siódmej wieczorem dowiedzieliśmy się od pani, która nas przyjmowała poprzedniego dnia, że z naszego powodu miała przykrą awanturę, i że kierowniczka nie zgadza się abyśmy spali w namiocie na "jej" terenie, choćby nawet jedną noc. Gorzej, że nie było już także wolnych pokoi w schronisku. Ostatecznie, za wstawiennictwem tej miłej pani, która zadzwoniła do kierowniczki, wybłagaliśmy jej zgodę na jeszcze jeden, jedyny nocleg pod namiotem na terenie „jej” schroniska.

Tym razem nie wszyscy się dobrze wypaliliśmy. Ja śpię jak suszeł w każdych warunkach, Heńka jednak po zapadnięciu zmroku dręczyły jakieś bezustanne stąpania i szmery w pobliżu namiotu. Całą noc czuwał ściskając w dłoniach saperkę. Rano był do niczego, zmęczony i zziębnięty.

Opuszczaliśmy Kraków wracając na trasę E-22. Szybko zabraliśmy się "Żukiem" do Bochni. Tam zmieniliśmy drogę odbijając na południe; drogą przez Wiśnicz i Muchówkę skierowaliśmy się do Lipnicy Dolnej, gdzie właśnie w tym czasie przebywał nasz przyjaciel, kolega z technikum - Irek, który miał pomagać swoim dziadkom przy żniwach.

Irek to człowiek o stu pseudonimach. Kilka z nich to: „Dziadek”, „Poprawczak”, „Maksymek”. Najtrwalszym był „Dziadek”. Droga do Lipnicy nie była bardzo ruchliwą drogą. Kilka krótkich odcinków

pokonaliśmy samochodami ciężarowymi korzystając z naszych książeczek autostopowych, przez większą część drogi po prostu dzielnie maszerowaliśmy szosą, a końcowy odcinek pokonaliśmy nawet jadąc furmanką. Na miejsce dowlekliśmy się dobrze po południu.

Chałupa, w której mieszkali dziadkowie "Dziadka" była wspaniała. Zbudowana z drewnianych bali, kryta strzechą, przycupnęła na małym wzniesieniu nad drogą. Przez niskie drzwi wchodziło się do sieni o glinianym klepisku zastępującym podłogę, stamtąd przechodziło się do kuchni i dalej do izby z małymi okienkami otwieranymi na zewnątrz. Druga izba mieściła się po drugiej stronie sieni. Nawet jak na Lipnicę był to już relikw z dalekiej przeszłości.

"Dziadek" na nasz widok zrobił oczy jak pięć złotych, nie spodziewał się nas zupełnie. Jego dziadkowie przyjęli nas z otwartymi ramionami, bez żadnych obaw. Byli bardzo podobni do swej chałupy - tak samo starzy i pochyleni. Poczęstowali nas najpierw kwaśnym mlekiem, a kiedy nieco odsapnęliśmy, dostaliśmy rosół z ziemniakami. Odpoczęliśmy znakomicie śpiąc jak bogowie na sianie w stodole.

Heniu, zmęczony po nieprzespanej nocy, po drodze napił się jeszcze lodowatej wody ze studni przy jednym z mijanych gospodarstw. Tym to już sobie dogodził. Dostał gorączki i w Lipnicy musiał odleżeć dwa dni pod kołdrą (w tej wspaniałej stodole), po czym ruszyliśmy w dalszą drogę.

Po kuracji Henia wróciliśmy na trasę - w naszym przypadku była to znowu droga E-22. Za Tarnowem ustanowiliśmy rekord: 4 godziny czekania na samochód, ale mimo to, jeszcze tego samego dnia dostaliśmy się do Łańcuta.

Po drodze, na pace samochodu ciężarowego zmontowaliśmy niesamowitą, siedmioosobową grupę: chłopiec i dziewczyna z Warszawy, dwóch chłopaków z Wrocławia i nas trzech z Wałbrzycha. Ci dwaj z Wrocławia wyglądali bardzo oryginalnie: brodacze, pstro ubrani, jednym słowem awangarda, do tego gitara i fujarka. Ten z Warszawy był studentem, miał na sobie panterkę wojskową jednego z zachodnich państw i kapelusz z podobnego materiału. Dziewczyna normalna, jedyne, co zauważyłem, to dość duże, lecz ładne zęby.

Rozbiliśmy nasze namioty w lesie pod Łańcutem. Wieczorem usiedliśmy wspólnie przy ognisku, zjedliśmy jakiś suchy prowiant i korzystając z akompaniamentu gitary i fujarki wyśpiewaliśmy się za wszystkie czasy. Leśny koncert trwał do godziny dwunastej w nocy.

Następnego dnia była niedziela, zwiedzaliśmy zamek w Łańcutie i słynną powozownię. Tacy Potoccy to wiedzieli, że żyli. Wieczorem wrocławianie przyprowadzili do naszych namiotów prawie cały żeński obóz, który rozbił swoje namioty w pobliżu. Przyjemny ścisk; zmieściliśmy się wszyscy w jednym dużym namiocie. Nie przeszkadzał papierosowy dym, ogólne śpiewy trwały znowu do północy.

W poniedziałek wszyscy ruszyliśmy dalej. Z powrotem do Rzeszowa, potem przez Sanok i Lesko do Soliny. Solina jest piękna, ale nie spełniło się moje marzenie. Chciałem się tam wykąpać a tymczasem pogoda nie była nadzwyczajna i nie trafiliśmy na dogodne miejsce. Jednym słowem byłem niepokieszczonym: będąc nad słynną Soliną, o której zielonych wzgórzach jeszcze poprzedniego dnia wszyscy śpiewaliśmy, nawet się w niej nie wykąpałem. Potem ruszyliśmy już na obwodnicę bieszczadzką. Po śpiewując sobie przy dźwiękach gitary maszerowaliśmy przez Bieszczady, lub siedzieliśmy w przydrożnym rowie, w oczekiwaniu na samochód, który uda nam się zatrzymać. Wreszcie nastąpiło to, co prędzej czy później musiało nastąpić - musieliśmy się rozstać. Oni zostali w Kalnicy a my pojechaliśmy dalej, na Wetlinę. Z Wetliny do Ustrzyk Górnych maszerowaliśmy cały czas "pieszkom", ponieważ ruch na szosie był niewielki. W czasie tej wędrówki do Ustrzyk Górnych, na połoninie w Berehach (też zresztą Górnych) spotkaliśmy pasterzy owiec. Wraz z nimi zjedliśmy wspaniałą kiełbasę, pieczoną na kijach, nad ogniskiem z gałęzi jałowca. Ten smak i zapach na długo zapamiętałem. A wokół piękna przyroda: dzika zieleń, wąskie, leśne dróżki, czasem oznaczone jako trasy turystyczne, czyste górskie potoki, po których brodząc próbowaliśmy rękoma łapać ryby. W tej świeżej, zimnej wodzie można było się też w końcu porządnie umyć.

Po drodze do Ustrzyk Górnych zobaczyliśmy, na czym polega praca węglarzy wypalających węgiel drzewny. W środku lasu ludzie czarni jak Murzyni uwijali się koło wielkich kopców. Produkcja węgla drzewnego polega na tym, że drewno musi się zwęglić bez dostępu powietrza. Te kopce to były właśnie przysypane ziemią stosy porąbanego i podpalonego drewna. Ciągłe się z nich dymiło i kopało. Po

odpowiednim czasie krzątający się wokół ludzie zdejmowali warstwę ziemi. Powstały z drewna węgiel drzewny kruszyli i przesiewali przez wielkie sita, po czym pakowali w worki. Kurzyło się przy tym okropnie.

Zaskoczył nas szybki zmierzch. Ściemniało się, gdy w końcu zdecydowaliśmy się rozbić namiot pod lasem, w miejscu w miarę równym i suchym. Tak się nam przynajmniej wydawało. To była niezapomniana noc.

Zaraz po ułożeniu się na materacach poczuliśmy porządną ziaź. Mieliśmy tylko dwa nadmuchiwane materace i jeden z nas zawsze musiał spać w dziurze pomiędzy dwoma pozostałymi rozciągniętymi na materacach. Zresztą mieliśmy też tylko dwa koce. Bieszczady są wspaniałe i piękne. Niesamowite widoki, surowe, prawie pierwotne lasy, wzniesienia, przełęcz i strome skarpy, masa jagód i malin. Tak, to wszystko jest bardzo ładne, ale kiedy wieczorem opada mgła i w dodatku od pobliskiego strumyka ciągnie chłód i wilgoć, to dobrze jest leżeć w schronisku pod kołderką a nie na glebie pod namiotem. Nie wiedzieliśmy o tym, że w Bieszczadach są tak chłodne noce. Wystarczyło chuchnąć na rurkę poprzeczki namiotu a para zaraz się skraplała.

Wtedy doszliśmy do wniosku, że to jest właśnie odpowiedni moment, aby wyjąć, otworzyć i opróżnić nasz jedyny, cenny antybiotyk - ćwiartkę gorzkiej żołądkowej. To nam pomogło jakoś przetrwać tę noc. Ale przetrwać to nie znaczy przespać. Leżąc rozmawialiśmy o byle czym i co jakiś czas, na zmianę, wstawaliśmy i robiliśmy kilka ćwiczeń dla rozgrzewki. O piątej zwinęliśmy się, zrobiliśmy sobie ciepłe żarcie i o 6<sup>02</sup> byliśmy już w autobusie PKS, który zawiózł nas do Ustrzyk Dolnych.

Następnego dnia nocowaliśmy w stodole za Sanokiem. To był luksus w porównaniu z poprzednią nocą. Gospodarze byli bardzo mili, nie obawiali się wpuścić takich trzech oberwańców do swojego obejścia. Oddaliśmy im na noc swoje dokumenty, żeby mieli pewność, że nie jesteśmy żadnymi chuliganami i mogli spać spokojnie. Kolacja też była luksusowa - parówki zagrzone w wodzie zagotowanej na kocherku, naszej składanej kuchence turystycznej na paliwo stałe. Parówki kupiliśmy w Ustrzykach Dolnych.

Potem był Rzeszów, gdzie ustanowiliśmy nasz absolutny rekord: siedem godzin oczekiwania na samochód, który nas wreszcie zabrał w kierunku zachodnim. Obiad zjedliśmy w przydrożnym rowie: chleb i zupa w proszku zagotowana na kocherku. Nie mogliśmy zbyt dużo gotować, musieliśmy ograniczać ciepłe potrawy, ponieważ kończyło się nam paliwo turystyczne w kostkach ogrzewające naszą kuchenkę. Wyjeżdżając z Rzeszowa ostatecznie pożegnaliśmy Bieszczady obiecując jednak sobie, że jeszcze tam wrócimy.

W drodze powrotnej zahaczyliśmy o Wieliczkę, Oświęcim i Częstochowę. Nie będę tu opisywać niesamowitych atrakcji zabytkowej Kopalni soli w Wieliczce, bardzo mocnych wrażeń w trakcie zwiedzania muzeum Obozu w Oświęcimiu i skarbów, jakie mogliśmy obejrzeć w sanktuarium na Jasnej Górze w Częstochowie - to wymagałoby o wiele dłuższego opowiadania.

Wspomnę tylko, że w stodole u gospodarza z Wieliczki było najwspanialsze siano, na jakim dotąd zdarzyło mi się spać. W Oświęcimiu bardziej wstrząsnął mną dokumentalny film o wyzwoleniu obozu, niż to, co zobaczyłem w naturze. Oglądając stopy butów, okularów, dziecięcych lalek nie można było w pełni wczuć się w grozę tamtych czasów, pojąc ogrom zbrodni i odczłowieczenia. Trudno było odizolować się od otoczenia i uruchomić wyobraźnię, gdy przeszkadzali turyści i piękna pogoda. Zrobiliśmy sobie zdjęcie pod szubienicą, na której w 1947 roku powieszono komendanta obozu Rudolfa Hoessa.

W Częstochowie nie zabawiliśmy długo, trzeba było myśleć o noclegu. Przyszło nam spać w jakiejś niewielkiej wsi; nie pamiętam już nazwy wsi. Pamiętam natomiast, że owszem, pozwolono nam przemocować w stodole, ale uczciwie uprzedzono nas jednocześnie, że właściwie zostały tam już tylko resztki słomy. Nie wiedzieliśmy, co nas czeka. Kiedy tylko ułożyliśmy się na tych resztkach słomy i pogasiliśmy latarki natychmiast dało się słyszeć głośne szuranie, drapanie i szeleszczenie. Na trzy-cztery włączyliśmy latarki i zobaczyliśmy całą bandę myszy, którym w tym świetle radośnie błyszczały małe, czarne oczka. Mimo zmęczenia nie dało się spać. W końcu musieliśmy przy świetle latarek rozbić namiot na gołej ziemi na podwórzu.

Kolejny, ostatni już nocleg wypadł nam za Lublińcem, w stodole starych Ślązaków, którzy w rozmowie posługiwali się jeszcze wspaniałą gwarą z dużą domieszką słów niemieckich. Tam w nocy zdarzyła mi się zabawna historia. Smacznie śpiąc na kocu rozłożonym na pachnącym sianku poczułem nagle na piersiach jakieś dziwne, ale przyjemne ciepło. Sięgnąłem tam ręką i wyczułem coś żywego, ciepłego i włochatego. W nagłym przestraszeniu chwyciłem to coś za futro i cisnąłem przed siebie. Kiedy rozległa się miauczcząca skarga zrozumiałem, że to kot znalazł sobie przyjemne miejsce do spania na mojej klatce piersiowej.

Następnego dnia szczęśliwie dotarliśmy do domu. Zmęczeni, ale zadowoleni.

Wywaliłem wszystkie brudne rzeczy, wykąpałem się nareszcie w ciepłej wodzie; siedziałem w wannie dobre pół godziny. W końcu spałem też jak człowiek, we własnym łóżku.

Straciliśmy w ciągu dwóch tygodni zaledwie po 400 złotych na łebka. Mało, ale żyliśmy bardzo oszczędnie. Póki reszta pieniędzy nie uległa konfiskacie kupiłem sobie wymarzony, szeroki, skórzany pas, za złotych polskich 120!

Czy to już koniec? Wciąż trwały wakacje 1971 roku. Lato rozleniwiła. Wiele czasu spędzałem na ogródku, gdzie wraz z ojcem postawiliśmy elegancką altankę. Miałem tam prawdziwy luksus: stolik, fotel, ławeczka i leżanka. Można było opalać się i czytać. Czas się jednak dłużył, kolegów miałem niewiele i byli to głównie koledzy ze szkoły: Heniek, z którym wspólnie wędrowaliśmy po Bieszczadach, Janusz nazywany po prostu Jaśkiem i Irek zwany Długim. Czasami spotykaliśmy się w klubie MPiK-u na Placu Grunwaldzkim. Można tam było spokojnie posiedzieć przy herbatce i pogadać ze znajomymi w miłej atmosferze. Lecz, na co dzień moją stałą trasą była droga z domu do ogródka i z powrotem. Nudziłem się jak mops. Mogę śmiało powiedzieć, że później już nigdy tak beztrudnie się nie nudziłem.

Tamtego lata przez kilka dni mieliśmy gości z Francji - sześć osób. Dom pękał w szwach, ale jakoś pomieściliśmy się. Brat i ja znowu spaliśmy na materacach, byliśmy już do tego przyzwyczajeni.

Nie mogłem usiedzieć na miejscu. Planowałem wypad na 2-3 dni do Otmuchowa, nad zalew na Nysie Kłodzkiej, ale nie mogłem znaleźć towarzyszy do tej podróży.

Mieliśmy tam oczywiście pojechać autostopem. W żadnej, tak zwanej przeciętnej rodzinie nie było przecież wtedy samochodów a jazda autobusami to nuda. Długi był zbyt wielkim domatorem; jego parą koni by z domu nie wyciągnął, Jasiu i Heniek wyjeżdżali gdzieś z rodzicami, więc pozostawało mi wyruszyć w drogę samotnie.

Kiedys w czasie spotkania z Krystyną, piękną i miłą koleżanką szkolną, wspominałem jej, że przydałby mi się jakiś kapelusz na tę planowaną wyprawę. Zdobyła dla mnie stary kapelusz swego ojca. Kiedy odwiedziłem ją przed wyjazdem był piękny, ciepły wieczór. Po pożegnaniu się z jej rodzicami wyszedłem wraz z nią na werandę. Długo nie mogłem się z nią pożegnać. Rozmawialiśmy o głupstwach, szukaliśmy księżycy (nie było drania) i patrzyliśmy na oddalone trochę światła "wielkiego" Wałbrzycha. Krystyna mieszkała w domku na uboczu, ale na wzgórzu pomiędzy centrum miasta a Białym Kamieniem. Miałem ogromną ochotę przytulić ją i pocałować na do widzenia. Zamiast tego tylko ucisnąłem jej rękę, żartując żeby nie podawała mi jej przez próg, bo to zły znak.

Miałem już kapelusz, mama uszyła mi świetną kamizelkę z frędzlami, plecak też był już spakowany – więc ruszyłem w drogę polecając się opiece Ananke - greckiej bogini losu i przeznaczenia.

Były ostatnie dni sierpnia. Wyruszyłem o wpół do siódmej a w południe byłem już za Kłodzkiem na drodze E-12. Dopiero tam zorientowałem się, że zapomniałem wielu potrzebnych rzeczy, między innymi grzebienia i zapasowych kąpielówek. W Kłodzku ogromnie spodobało mi się stare miasto, piękne wiekowe kamieniczki, wspaniała ratusz i średniowieczny, kamienny most z rzeźbionymi posągami. Kręciło się tam trochę turystów. To taki mały Kraków i naprawdę jest tam, co obejrzeć. Słońce grzało jak wszyscy diabli, więc zrezygnowałem ze zwiedzania Twierdzy Kłodzkiej. Nie mogłem się doczekać, kiedy wreszcie rzucę się do wody w Jeziorze Otmuchowskim, (czyli zalewie na Nysie Kłodzkiej).

Kiedy tam dotarłem, nauczony doświadczeniami z Bieszczad, najpierw załatwiłem sobie nocleg u gospodarza w Ściborzu. Zostawiłem u niego swoje rzeczy i polecałem nad jezioro. Jest tam naprawdę

pięknie. Wykąpałem się, ochłoniąłem trochę i nienasycony znów kilkakrotnie wskakiwałem do wody. Oczywiście włąziłem do wody w miejscu, które nie było urządzonym kąpieliskiem, ale nie widziałem tam żadnych tablic zabraniających kąpieli. Słonko grzało cudnie, więc zamiast męczyć się pływaniem, przewróciłem się na plecy i leżałem sobie na wodzie gapiąc się w niebo. Fal nie było, od czasu do czasu machałem sobie stopami i dłońmi, aby się utrzymać na wodzie. W pewnym momencie poczułem lekki, ale wyraźny prąd wody, który gdzieś mnie trochę znosił. Szybko wróciłem do normalnej "żaby", rzuciłem okiem przed siebie i wtedy naprawdę się przeraziłem. Byłem zdecydowanie zbyt blisko zapory, na której zbudowana jest elektrownia. Wyraźny, coraz silniejszy prąd wody ciągnął mnie w kierunku przelewu w tamie. Z tego ogromnego strachu, jaki mnie ogarnął płynąłem do najbliższego brzegu jak wariat. Umordowałem się jak nigdy wcześniej i kiedy w końcu wywlokłem się na brzeg, nie czułem nawet, że leżę na twardych i ostrych kamieniach usypanych przy brzegu. Dopiero po dłuższej chwili przyszedłem do siebie.

Później poszedłem obejrzeć sobie z bliska tę zaporę i elektrownię na Nysie Kłodzkiej oraz sam Otmuchów. To ładne i czyste, historyczne miasteczko posiadające zamek, zabytkowy ratusz i wspaniałą kościół, którego wieże górują nad miastem. Gdy wróciłem do Ściborza "kazałem sobie" piwko i kiełbaskę z rożna. Piwko mi zasmakowało, więc wziąłem sobie drugie. W łebku lekko się zakręciło, bo przez cały dzień był solidny upał a ja przecież nie leżałem beczynnym. Mimo zmęczenia przeszedłem się jeszcze wzdłuż jeziora. Wieczorem jest ono przepiękne - całe masy dzikiego ptactwa, żaglówki a nad brzegiem wędkarze rozstawieni co kilka metrów.

Następnego dnia wyruszyłem w przeciwnym kierunku, w stronę Kudowy Zdroju. Najpierw dotarłem do Dusznik. Szukałem noclegu. Pierwszy gospodarz, właściciel dość nowego domu, do którego zapukałem, nie zgodził się mnie przenocować. Widoczna była jego nieufność a nawet niechęć. Trochę zbity z tropu tym niepowodzeniem zajrzałem do małej chatynki stojącej w pobliżu, tuż przy drodze. Przyjęła mnie stara babcia, która miała bardzo cichy i świszczący głos. Zgodziła się mnie przenocować i wesoło opowiadała, że u nich spali już młodzi ludzie z autostopu a nawet różne wycieczki.

„A jeden autostopowicz, gdzieś panie aż spod Legnicy, to jak poznał moją wnuczkę, to nawet został na dłużej. Potem, panie, pisali do siebie. Ale ona była młoda i głupia, to i jej się odmieniło. A taki był fajny chłopak, nawet podobny do pana”.

Babcia częstowała mnie mlekiem prosto od krowy, tyle tylko, że precedzonym. Było ciepłe i specyficznym pachniało, trochę inaczej niż to ze sklepu. Potem z pola wrócili żniwiarze. Gospodarze mieli tam mizerne półko na stromej górze. Dziadek zaprosił wszystkich zmęczonych i spragnionych do stołu (mnie również), i częstował winem lanym do szklanek. Sprytnie to było częstowanie, bo kiedy się tylko trochę upiło ze szklanki, to dolewano do niej wody. Stopniowo ubywało wina, a przybywało wody. Ale pragnienie zostało skutecznie ugaszone. Ja ze swej strony poczęstowałem ich papierosami. Poszły ostatnie francuskie Kenty i Gitany, które dostałem od tej rodziny, która nas odwiedziła.

Spałem jak król, w łóżku, a nie jak to zwykle na stopie w namiocie czy też w stodole. Rano miałem znów świeżutkie mleko a potem wybrałem się obejrzeć uzdrowisko. Próbowałem mineralnej wody ze źródła Agata, znajdującego się w parku, potem wody z Pieniawy Chopina, już w budynku pijalni. Jest tam śliczny park zdrojowy, stary kościół z oryginalną amboną w kształcie wieloryba, śliczny ryneček i oryginalny młyn papierniczy, a właściwie stara wytwórnia papieru. Urządzono tam muzeum papiernictwa i na miejscu wytwarza się oryginalny papier czerpany, wytwarzany ściśle według przepisów średniowiecznych. No i wspaniałe otoczenie - to piękne górskie tereny.

Z Dusznik Zdroju dojechałem do Kudowy. To już kraniec Polski, tam biegnie granica z Czechosłowacją. Po drugiej stronie leży czeski Nachod. W Kudowie obejrzałem sobie tamtejszy park zdrojowy i wykąpałem się w miejskim basenie. Bardzo podobały mi się domy wczasowe, w większości dziewiętnastowieczne, z wieżyczkami, kopułami, balkonami i drewnianymi werandami. Wprost bajkowa sceneria. Nowoczesne hotele o prostych, surowych bryłach jakoś tam zupełnie nie pasują.

W drodze powrotnej zdarzyła się zabawna historia. Bardzo długo siedziałem w rowie, przy drodze za Kudową, bezskutecznie próbując zatrzymać jakiś samochód. Wreszcie nie mogąc trafić żadnej okazji

ruszyłem pieszo, co jakiś czas robiąc przystanki i machając książeczką Autostopu na próżno starać się zatrzymać rzadko kursujące samochody. Dopiero za Lewinem Kłodzkim zabrał mnie do Dusznik bardzo uprzejmy gość jadący Trabantem. Podziękowałem za podwiezienie, dałem mu kupon i wyszedłem sobie za miasto, na drogę w kierunku domu. Znalazłem dogodnie miejsce do zatrzymywania samochodów i czekałem aż ktoś nadjedzie. Przy okazji pojadłem sobie trochę jeżyn, które rosły na poboczu. Zatrzymuję pierwszy, przejeżdżający samochód i okazuje się, że to znowu ten sam Trabant. Ten sam uprzejmy kierowca zabrał mnie na czwartego a przecież Trabant nie był z gumy tylko z plastiku i dlatego nazywano go „mydelniczką”. Mimo ciasnoty czas zleciał nam na ciekawych rozmowach przyjemnie i szybko. Ani się spostrzegłem, kiedy byliśmy już w Nowej Rudzie. Słupiec (jadąc z Kłodzka jest przed Nową Rudą) bardzo przypomina Wałbrzych i miasta Górnego Śląska. Od razu było wiadomo, że tam dominował węgiel. Kurz, pył, wieże szyków i kopalnia przy samej drodze.

Za to Nowa Ruda to bardzo ciekawe, zdecydowanie zbyt słabo znane, zabytkowe miasto. Przecięte przez rzekę Włodzicę położone jest na kilku poziomach. Często jadąc jedną drogą przejeżdża się ponad dachami domów położonych na innej, niższej drodze. Nowa Ruda ma przepiękny ratusz i mnóstwo zabytkowych budowli.

Z Nowej Rudy do Wałbrzycha dojechałem niezbyt komfortowo, ale za to w bardzo miłym towarzystwie. Na pace starej, rozklekotanej ciężarówki, pod plandeką, przy burtach po obu stronach umocowane były ławki, na których siedziały dwie panie, znajome kierowcy, które w ten sposób podróżowały do Wrocławia.

Skończyły się wakacje. Autostopu miałem już dość, przynajmniej na rok. Wróciła szkoła. Mogłem już tylko posłuchać jak śpiewa Wojtek Korda z Niebiesko-Czarnych:

„Skończyły się wakacje, opadły liście z drzew, opustoszały plaże i ucichł ptaków śpiew.

Wspominać będziesz lato, wakacji dni, wspomnienia przemijają jak kolorowe sny”.

Nieprawda, mimo upływu tylu lat moje wspomnienia są wciąż żywe. Uśmiecham się, przypominając sobie te dni. Aby o nich nie zapomnieć napisałem to krótkie opowiadanie.

Dzięki temu przygody związane z „Autostopem 71” zapamiętam do końca swych dni.